

Od autora: Umarł mój teść, a ja wbrew swoim wcześniejszym zapowiedziom byłam na jego pogrzebie. To było jeszcze zanim urodził mi się wnuk. Mały chłopiec o ślicznym spojrzeniu i paluszkach, które mają schować jego piękną główkę przed całym złem tego świata.

- Ciekawe, co tam roi się w tej maleńkiej główce - myślę, patrząc na jego buzię - co też to z takiego maluszka kiedyś będzie...

- Stary zbok - powiedziała o nim córka naszych wspólnych znajomych i... niestety miała rację. O zmarłych jednak nie mówi się źle, nawet jeśli jest to prawdziwe.

Teść nie rodzina, można by rzec. Tym bardziej jeśli jest to ojciec byłego męża. Na pogrzeb więc mogłam nie iść. Tym bardziej w czasach zaostrzanego jeszcze wówczas (połowa października) rygoru sanitarnego. Pomyślałam jeszcze zanim umarł, że to chyba jednak nie w moim stylu i że warto godnie zakończyć tę opowieść.

Kolejna bajka będzie już nieco inna...

Urodził mi się wnuk. Szczęśliwie, choć jak można się domyślić nie bez problemów. Służba zdrowia i bez pandemii jest u nas taka, jaka jest. Położne - zazwyczaj kobiety - bywają... Miało być bardziej dosadnie, ale... biorąc pod uwagę niedawne/ obecne/ nie-obecne - protesty kobiet... Napiszę więc, że bywają... zmęczone. Sobą. Życiem. Wiecznymi brakami.

Tak naprawdę? Kto oprócz mojej córki wie, jak to było naprawdę... W każdym bądź razie... według jej opowieści, było raczej dość dramatycznie. Z szczęśliwym zakończeniem i poranną rozmową ze mną.

Mały urodził się 14 listopada. Ważył ponad 4 kg i przyszedł na świat przy użyciu chirurgicznego skalpela i sprawnych rąk lekarza, który ten zabieg przeprowadził. Myk... i jest. Dzieciak jak się patrzy. Uroczy słodziak. Póki co...

Pod koniec listopada zajrzał do mnie jeden z moich klientów, oznajmiając, że w poniedziałek jedzie do Warszawy.

- Do Warszawy - zapytałam.

- A co? Jedzie pani ze mną - zapytał on.

- Hmm... może to dobry pomysł.

Umówiliśmy się "tak trochę". Po jego wyjściu sprawdziłam jakie są możliwości powrotu pociągiem do domu, bo on zostawał tam na cały tydzień, a ja miałam zamiar wracać tego samego dnia. Umówiłam się z córką. Zarezerwowałam sobie bilet i... Dopiero dwa dni później zadzwoniłam do gościa, że jadę. Tylko po to by się dowiedzieć, że w międzyczasie zmarła jego matka więc... nie wiadomo jak to będzie.

Nie czekając na jego decyzję, załatwiłam sobie pociąg. Poniedziałek. 30 listopada. 6.09.

W niedzielę zastanawiałam się jak dotrzeć na dworzec PKP. Autobus miejski? Odpada. Musiałabym wcześniej wyjść. Potem wieczorem czekać na przystanku. Po co... Taksówka? Nie lubię zamawiać. Nie chcę. Zresztą niewiele taniej wyjdzie, niż postój własnym autem na parkingu. Wymyśliłam więc, że jadę

samochodem. I wezmę ze sobą laptopa, bo w pociągu nie będzie pewnie dużo ludzi więc będę mogła coś zrobić.

Obudziłam się o zaplanowanej godzinie. Zjadłam śniadanie. Spakowałam prezenty (te, które musiały poczekać w lodówce). Umyłam włosy. I już niby miałam wychodzić, ale... Cóż... Tak to w życiu bywa..., a pewne potrzeby fizjologiczne domagają się tego i owego. Na dworze ziąb. Szyby zamrożone. W efekcie końcowym lekka delirka: cholera, jest już późno.

Na całe szczęście ruch niewielki. Szybko mijam kolejne światła. Dojeżdżam w okolice dworca, gdzie na chodniku dostrzegam wolne miejsce parkingowe, na którym stawiam mój samochód. Parkometr stoi jakieś 5 metrów ode mnie. Biorę torebkę i idę zapłacić za bilet. Tymczasem maszyna zdaje się być zupełnie nieczuła na moją kartę.

Jest późno. W przypływie lekkiej paniki stwierdzam, że zostawię samochód na parkingu przed dworcem. 3 zł za godzinę postoj - myślę - dam radę. A teraz tylko wezmę bilet i nie muszę się niczym przejmować.

Na placu, na który każdy wjazd, 20 minutowy postój czy wyjazd, dotychczas kosztował mnie wiele gorzkich słów i przekleństw, pustka. Pandemia robi swoje.

- Bo kto to widział te kocie łby i żadnych miejsc na to, żeby swobodnie móc poczekać na podróżującego. Jakiś koszmar.

Tym razem nic. Nawet taksówek za bardzo nie widać. Przejeżdżając przez bramkę, wyciągam bilet parkingowy. Parkuję samochód. Bilet tymczasowo chowam do kieszonki w torebce.

- Potem schowam porządniej - myślę - a teraz już idę. Zabieram swój bagaż. I szybkim krokiem zmierzam znanym mi już szlakiem na wyznaczony peron. Pociąg podjeżdża niemalże za moimi plecami.

- Jezu. Jak ja tego nie znoszę - myślę - dlatego wolę podróżować własnym samochodem. Tym razem jednak wybrałam tańszą i mniej męczącą opcję.

Wsiadłam do pociągu, uznając chwilę później, że to właściwy wagon. Znalazłam swój przedział. Włożyłam moją maleńką, niebieską walizeczkę na górną półkę. Ściągnęłam z siebie kurtkę. Zaglądam do torebki. Wyciągam książkę... I... nigdzie nie widzę portfela.

Cholera - myślę - został w samochodzie. Gdy tymczasem pociąg już jedzie. Kolejna stacja... Często-chowa. Ja? Bez kasy. Bez biletów. I bez dokumentów. Jedyne, co mam przy sobie, to telefon.

- I laptop - przypomina mi się, gdy zaczynam szukać przedziału zajmowanego przez obsługę pociągu. Oddycham trochę spokojniej, bo już wiem, że przynajmniej mam przy sobie bilety.

- No, jeśli ma pani przy sobie dokumenty, to w porządku - tłumaczy mi miła pani, która po chwili przychodzi skasować mój bilet. Skanuje numer. Prosi o dokument.

- Ale dokumentów też nie mam. Nie mam przy sobie nic. Zostało w samochodzie.

W ostateczności macha ręką. Mówi, że jest ok. A ja? Dziękując wszelkim opatrnościom, siadam do mojego laptopa i pracuję.

W Warszawie na Wschodnim muszę chwilę poczekać. SKM, którą niestety jadę... na gapę..., bo na BLIKu się jeszcze nie zdążyłam poznać i nie wiem jak to w ogóle działa, szczęśliwie dojeżdżam na miejsce. Chwilę później spotykam się z córką. Razem idziemy do ich mieszkania, gdzie po chwili dostrzegam ten mały cud...

Dziecko śpi na wersalce. Małeńka piąstka zakrywa główkę. Wszystko takie kruchutkie. Delikatne. Nieokręple w tym przedziwnym przecież świecie ludzi i ich rzeczy.

Pijemy kawę. Zjadamy przywiezione przeze mnie ciasto. Rozmawiamy. W międzyczasie mały się budzi. Trochę płacze. Trochę je. Jak to kilkutygodniowy noworodek.

Wychodzimy na mały spacer do sklepu, gdzie kupujemy ziemniaki na obiad i bilet na powrotną SKMkę. W międzyczasie kombinuję coś z moim biletem powrotnym, przerzucając jego kopię na telefon. I jakoś żadna z nas nie myśli o tym, że nie mam przy sobie dokumentu tożsamości, a bez niego bilet internetowy jest przecież nieważny.

Chwilę po szesnastej wychodzę na stację, do której jest nie dalej niż jakieś 500 metrów. Idziemy z moją córką. Rozmawiamy. Dogadujemy ostatnie tematy. W końcu żegnamy się. Przyjeżdża pociąg. Ja wsiam. Ona odchodzimy. Wracam. Szczęśliwa, że byłam.

Na Wschodnim chwilę muszę poczekać. Gdybym wiedziała... Pewno bym to jakoś sobie inaczej wymyśliła. Wzięła gotówkę od córki. Kupiła zwykły bilet. Tamten anulowała w kasie. Był na to czas, ale...

- No przecież mam przy sobie bilet - myślałam, siedząc grzecznie na ławeczce.

W pociągu szukam konduktora i tłumaczę mu w czym rzecz. On? Wprawdzie jest dość miły, ale... nieprzejednany. Tłumaczy mi, że bez dokumentu bilet jest nieważny.

- Ale to wszystko zostało w aucie - mówię lekko już poirytowana.

- A wie pani... - i opowiada mi pewną historię o kobiecie, co w ten sposób naciągała polskie koleje na darmowe przejazdy. Ech...

Toczą się kolejne warszawskie dworce. Ja - w niepewności - czekam, co wymyśli ten gość. Kombinuję coś z kontem. Ogarniam BLIKa (konto w ING mam od jakiegoś miesiąca i nie bardzo się w tym wszystkim jeszcze wyznaję). Na Zachodnim już wiem...

- Aaaaaa... Tak to działa... - uśmiecham się do siebie trafiając na właściwą opcję przelewu w moim telefonie.

- Ok. Tak się składa, że ja też mam konto w ING - tłumaczy mi konduktor - zrobimy więc tak. Proszę uruchomić tego BLIKa.

PIN. Przejście do właściwej operacji. Nr telefonu gościa. I pieniądze wpływają na jego komórkę. Z jego komórki na konto PKP. A potem? Trrrrr... i wyskakuje zwykły bilet. Na ten nie trzeba dokumentów.

- Teraz niech mi jeszcze pani pokaże ten, co pani ma.

Wyciągam komórkę. Pokazuję fotkę. Gość skanuje numer. I drukuje karteczkę, która ma mi pomóc

odzyskać pieniądze za niewykorzystany bilet. I wszystko kończy się... Nie. Nie. To jednak jeszcze nie koniec.

Jest 30 listopada. Ja już lekko zmęczona. Myślę jednak o pewnym ważnym przelewie, który powinnam jeszcze tego dnia zrobić. Siedzę sama w przedziale. Mam spokój. Mogę więc do tego sięść. Zatrzymuje mnie jednak pewna myśl.

- Poczekaj, aż dojedziesz na miejsce. Przecież musisz jeszcze zapłacić za parking, a w portfelu masz 50 zł. Co wie, co jeszcze się wydarzy - myślę.

Jest parę minut po 22 gdy wysiadam na dworcu. Zmęczona. Głodna. I szczęśliwa, że udało mi się to wszystko jakoś ogarnąć. I to bez większych strat.

- Na koncie mam jeszcze odpowiednie środki na przelew. Tylko jeszcze ten parking.

Wychodzę z dworca. Księżyc skrzy się na niebie, a jego połyskliwe światło w połączeniu z żółtym blaskiem lamp, odbija się na stojącym dość samotnie srebrnym Peugeotzie 206. Moim. Bo bez przedniego kołpaka. Z lekkim wgnieceniem na przednich drzwiach od strony kierowcy. Tylko... Czegoś mi tu w tej scenerii brak...

- Czy to na pewno moje auto? - myślę w takim lekkim popłochu, przypominając sobie jak to kiedyś włamałam się do jakiegoś cudzego samochodu. Moje tymczasem stało dwa miejsca dalej.

- A może to nie ten parking... No, bo... gdzie do cholery są te bramki - wymyślam w końcu powód mojego niepokoju.

Podchodzę bliżej i wciąż jeszcze nie wierzę.

No przecież mam bilet. Rano go wyciągałam. Jak to?

- Przepraszam. Pan coś wie na temat tego parkingu - pytam gościa, który parę metrów ode mnie otwiera swojego SUVa.

- Nie. I jakoś mnie to nie obchodzi - mówi on - nie ma bramek. Nie ma opłat za parking.

Otwieram samochód. Wyciągam skrobaczkę i płyn do rozmrażania szyb. Portfel leży na podłodze. Musiał spaść z siedzenia jak przeparkowałam samochód. W sercu jakaś przedziwna radość. No, bo... może miałam stanąć tego dnia właśnie na tym parkingu. Za darmo. I, że chyba same anioły mnie tam przywiodły.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

SylwiaJ, dodano 28.12.2020 22:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.